

Wędrowałem w swoim życiu wiele, wędrowanie ożywiało moje życie, ofiarowywało mojemu życiu wiele żyć.

Wędrowałem dzieckiem, z Babcią Julą za rękę, przez polne drogi Osoli, wśród zbóż. Wędrowałem młodzieńcem, okazjami, przez Polskę lat siedemdziesiątych; odkrywałem Europę w płaszczu ortalionowym zamiast śpiwora – byłem włóczęgą. Zamieniałem mój Wrocław na świat i przemierzałem go po wielokroć. Biegałem po poligonie, w hełmie, w samotność wojennego teatru młodości. Trafiłem do Gardzienic.

Przy Staniewskim latami wędrowałem po „Naturalne środowisko teatru”, zaprzęgnięty w łódź wypełnioną muzyką, obok najbliższych mi osób. Byłem posłańcem spraw, przy których rosłem. Paliliśmy mosty, deptaliśmy ziemię, by wejść w wiek męski. I wszedłem – *Awwakum, Carmina Burana*.

Z okna mego domu śledziłem zmieniające się kolory łąki i wiewiórkę, którą nazwałem Zeami. Przysypiałem i śniłem skrzywienie stalówki mojej maszyny do pisania. Budziłem się pobity.

Przemierzałem fakty – rekonesanse, wyprawy, warsztaty, sympozjony, sesje, zgromadzenia, spektakle. Australie, Nowe Gwinee, Indie, Ameryki, Ukrainy, Anglie, Koree, Laponie, Japonie, Brazylii. Lata. Ludzkie konstelacje. Teatr. Sam nigdy bym tam nie doszedł.

Wbiegając w czterdziestki, ryczące, wyruszyłem na Wschód. Wróciłem. Dziś dniami strzelam z łuku, a nocą, na dwudziestą, chodzę do Domu-Teatru zajmować się zwierzętami. Szczególnie osłem. Podtykam mu pod pysk różę i ryczę, i czekam przemiany.

Wrocław. Początek lat sześćdziesiątych

W poniedziałkowe wieczory wyruszyłem z ulicy Kniaziewiczza 11, mieszkania 8, do kościoła św. Wojciecha, za fosę. Szedłem obok szewca, do którego odnosiłem do zelowania buty, koło zakładu pani Basieńki, gdzie biegałem z pończochami mamy, żeby „podnieść oczka”, koło kutego, poniemieckiego parkanu i w połowie zrujnowanej, poniemieckiej kamienicy, gdzie mieszkał mój kolega, z którym w poniemieckim bunkrze piłem po raz pierwszy wino. Poniemieckie gruzy i chłopięca wojna, Polacy i Niemcy, nikt nie chciał być Niemcem, kamienie i pierwsza krew. Małpi Gaj.

A w kościele światło witraża i misy z wodą święconą, czaszki przy sarkofagu błogosławionego Czesława, polyskujące obrazy, cienie i płonące świece.

O dziewiętnastej – służba.

W zakrystii podstrzyżeni chłopcy walili się komżami, potem 10 minut nakazanego skupienia, ubieranie Księdza-Ojca, mszał do ręki, trzy dzwonki, wejście. Msza... Spektakl.

MARIUSZ GOŁAJ

Zapiski z gardzienickiej chaty*

Grałem jedną z głównych ról, za Księdzem-Ojcem, organistą i Nim, dla którego to wszystko.

Przykłęknąć i przenieść mszał, wrócić na miejsce, przygotować dzwonek, skłonić głowę, nalać wody i wina, czasem tylko wina, wina, moja wina...

Ministrantura po łacinie, melodeklamacja, klęczeć ze sklonioną głową, moja wina, wina...

Trybularze i dzwonki, ich głosy, ich wypracowanie i szlachetność, jakże daleka od codziennej bylejakości.

Moja wina, rzeknij słowo, nie jestem godzien...

Złota patera podkładana pod usta tych zza balasków – wywalone języki, umalowane wargi, nieogolone policzki, popsute zęby. Drgająca powieka dziewczynki o włosach z jasnymi pasemkami.

Rachunek sumienia. Diabły i Anioły. Wina. Strach. Spowiedź.

Przebaczenie. Mam jeszcze tyle czasu...

Łzy szczęścia. Lekkość po pokucie.

Spełnienie. Mam jeszcze tyle czasu.

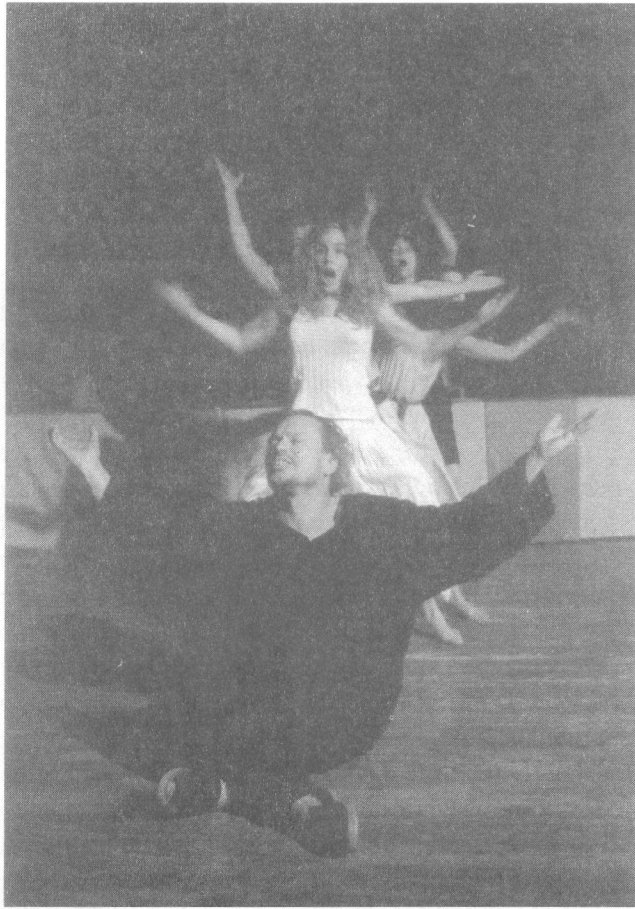
Aktorem byłem i w cywilu. Pierwsze próby.

Babcia Julia myła mi nogi w misce i czytała *Powrót taty*.

Woda chlapała na podłogę w kuchni, na żywe deski, szorowane przez rodziców w soboty, przy radiu Matysiaków. Pamiętam to wzruszenie i radość z zapamiętanego po raz pierwszy, powtórnego przed snem, sobie tylko, w łóżku, tekstu. A potem trajkotałem go Babci Juli, siedząc na jej kolanach, gdy szyła, w rytm maszyny do szycia „Singer”, jak piosenkę.

Na imieninach stawiali mnie na krzesło. Nie zawsze cichli od razu. Jeszcze wujek Janek stuknął kieliszkiem, jeszcze łyżeczka sałatki dla babci Kamy, jeszcze śmiech, jeszcze gwar. Jaką piękną rodzinę ja miałem, te ich zgromadzenia, te biesiady... ten teatr. Zaczynałem jak dziecko, z opuszczoną głową, nie znałem jeszcze sztuki początku. Potem osiągałem rytm maszyny do szycia Babci Juli, uważałem na oddech. To było gdzieś przy

* Pierwotnie tekst ukazał się w miesięczniku „Odra” nr 9/1997. Redakcji bardzo dziękujemy za zgodę na przedruk.



Metamorfozy. Fot. archiwum OTP

słowach: „...najpierw, z początku, porwał mnie śmiech pu-
sty, a potem litość i trwoga...”. To było gdzieś tu... Jak
przyjeżdżała rodzina z Pruszkowa, ze strony mamy,
pierwsza była zwykle ciotka Irka – zamglenie oczu, wil-
goć rzęs, łza, pierwsza, wytarta, następne jakoś tuszowa-
ne chusteczką, grymasem. Rodzina ze strony ojca była
żywsza, rozradowana, hałaśliwa. Stanowili zagrożenie
dla mojego aktorstwa. Bzyknięcie zapalniczki przy zapaleniu
papierosa babki Fatimy, paląca bez przerwy, kichnięcie
wujka Pawła, szept ciotki Baśki, potwornie sceniczny,
tego już się nie dało zatrzymać, to groziło klęską.

„Kupcze, idź w miasto, ja do lasu muszę...” – bywało,
że ciotki płakały na głosy.

Wrocław. Początek lat siedemdziesiątych

Wrocław przemierzany nocą, jeszcze dziś nie odma-
wiam sobie echa tych wędrówek.

Wyruszałem spod Stadionu Olimpijskiego, gdzie wy-
najmowałem ciemny, wilgotny pokój, z kredensem
i biurkiem, i żelaznym łóżkiem, do okna którego nocą,
spod drzewa moreli, pukali goście. Szedłem parkiem
Szczytnickim – koło rododendronów, gdzie jakiegoś
świtku czytałem komuś Rilkego: „Konno, konno, konno,
tak przez dzień, tak przez noc, konno, konno, konno...” –
do placu Grunwaldzkiego. To była przystań, rozświe-

tlona ciepłym, żółtym światłem gierkowskich lamp, jak
reflektorami w teatrze. Nie przypominał innych, tła-
cych się lichymi jarzeniówkami, ociemniałych ulic. To
była Europa. „Za moim oknem, od skalistych brzegów,
białe żagle wciąż jeszcze wychodzą na morze. Odchodzą
w tamtą stronę, niepotargane skrzydła...” – T.S. Eliot.
Most Grunwaldzki, wiszący, „nie brookliński”. Odra.
Mosty i kościoły. Apollinaire. Potem wybierałem – ko-
ło dominikanów, przez Rynek i Świdnicką albo koło
uniwersyteckiej polonistyki, albo od razu w dół, nad fo-
są, na dworzec.

Dworzec Główny to było wrocławskie „down town”
– ludzie, taksówki, ruch. Świecący zegar na wieży, mi-
gający, psujący się neon, kino nocne z huczącym wen-
tylatorem i seansami o północy. Bar, kawiarnia, restau-
racja – jedyne nocne lokale – żywe, ciepłe, dostępne.
Smak grochówki z chlebem, klopsa w pomidorach,
ziemniaków z kapustą zasmażaną, podwójnych ziem-
niaków z tłuszczem. Wędrowcy, przechodnie, podróż-
ni, nieudacznicy i poeci, milicjanci i SOK-iści, alkoholi-
cy, ćpuny, dziwki, taksówkarze i kelnerki, te ulubio-
ne, ulubione widoki, perspektywy, światelka, zakamar-
ki, ławki. Dostojewski, Sartre. Wódka w pobliskich
melinach, bramy, klatki schodowe, drzwi – „babcie”,
„ciocie”, radiowozy. Jakże te noce nie miały chuligań-
skie być, skoro recytując *Sergiuchę*, jego Moskwę za-
mieniałem na karczemny Wrocław.

To nie był Wrocław, to był cały świat. Te pociąg
o niebieskich światelkach miały mnie kiedyś wywieźć
daleko – „któreś nocy, ścigany pieśnią rozhisteryzowa-
nych stóp twych najdroższych, wyruszę w drogę...” – pu-
sałem w urodzinowym wierszu. A na razie z dworca na
Krzyki, ciągle piechotą – wiosną bzy, kasztany, butelka
mleka z wózka, poddasze przyjaciela-kumpla – z napi-
sanym wierszem, poematem, który „o bladym świecie
okazywał się zwykłym belkotem”. To był mój Ginsberg
i „kolczasty kłęb”. I powrót, „na czerwonym byku
Lao-tsy przez budzące się ulice miasta.

To był Teatr Miejsowy, Teatr Olśniewający. To był
nasz Teatr Osobny. Było nas paru, zresztą życie nas tra-
sowało przez tych parę lat. Tadeusz, Tomek, Broniek,
Monika, Hanka, Elżbieta, Jola, Jacek, Julka, Jurek, Mi-
chał, Ryszard, Magda, Irek.

Oblężenie wg Krasińskiego w Kalamburze, Łagodna
Eskurial w Pałacyku, Majakowski na Dawida, Schubert
w Jerzmanowicach. I po pokojach, po domach, po ga-
leriach na jedną noc, w mieszkaniach, na ulicach, tak-
sówkami, pod czyjeś okno – wiersz, w podziemnych
przejściach dworca – idziesz z walizką, stoimy pod ścia-
ną, stajesz, otwierasz, wchodzisz w nią, dmuchasz w za-
giel wyciągniętego prześcieradła – „nauczę cię żarliwo-
ści...”. Ten teatr był poza teatrem. Poza Teatrem Pol-
skim, Współczesnym, Kameralnym – tam się chodziło
w liceum. Poza studenckim, poza Laboratorium. Bywa-

ło się i tam, przerzucało kładki, używało sal, staży, kontaktów, festiwalu, świąt – byliśmy z ambitnych marzeń, żarliwych słów, nieprzejednani, wytrwali, czuli, więc nas wpuszczano i w lepsze towarzystwo. Ale tam już było za ciepło, więc wracaliśmy na ulice, w cień. I niektórzy w cieniu pozostać woleli, do dziś.

„Nie starcza już dwudziestoletnich burz ból, trzydniowy zarost nie rozczula...” – pisałem w wierszu z wojska. Ślad na piasku – na piasku, na trawie, na drodze. Na chodniku, posadzce, parkiecie. Na betonie, na linoleach i lastrikach, płytkach PCV, wykładzinach, deskach – czy scenicznych, czy to była scena?

Zakłady karne, szpitale, kluby studenckie, domy kultury. Z tobołkiem scenografii na plecach, z dwoma reflektorami, boso. Dzień postu przed pokazem.

Dziś widzę to jakoś napuszone, nieskromne. Zapatrzone w siebie, w młodzieńcze „ja”, jakże dalekie od wizerunku na scenie. Osamotnione, nie skonfrontowane z żadną tradycją, epoką, historią, zawieszane niby w „tu” i „teraz”, z młodzieńczą wiarą, że tylko „tu” i „teraz” jest, z pretensją do widza, żeby to „ja” – „tu” i „teraz” zaakceptował. W pełni. Bo w „pełni” niby byłem ja.

Spalone mosty, spalone przyjaźnie. Niektóre na zawsze.

Pierwsze kroki w samodzielność, w wiek męski. Do Gardzienic.

Olga Pawluczuk ze wsi Bubel. Nad Bugiem

Lato. Zamglony wieczór, od łąk, od rzeki. Na drodze czekały psy. Patrzyłem przez szybę okna, z nocy – w izbie grało radio, stół zastawiony „wszystkim”. Olga leżała ubrana na łóżku, z wyciągniętą, sztywną nogą. Chrapała.

Zapukałem w okno. „Kto to?” – wrzeszczy. I ruch... Biegnie, kuśtykając, otwiera drzwi, nastawia wodę, kroi chleb, całuje, wyciera nos, gada, śmieje się, wychodzi. Cebula, tuszonka, słonina – podsuwa krzesło, wszystko na czas. Wyciera fartuchem kieliszki, wlewa gościnną wódkę – „oj, będzie, będzie!” – woła, gdy stakany pełne. Wznosi toast. Jak ona wznosiła toasty... Te mowy, te zaśpiewy, stuknięcia szkła, śmiechy, dotykanie kieliszkiem ust, już tylko przechylić... ale odstawiła, jeszcze jedna przyśpiewka i śmiech, i nawoływanie, i parę ognia na twarzy, w zmarszczkach, co jak bruzdy w ziemi. Studiowanie ludzi ze wsi, ich pieśni, gestów, ruchu, ich technik, ich środowiska, ich kosmosu – to był ważny przedmiot gardzienickiej edukacji.

Wreszcie Olga w siebie wódkę wlała – wydech, grymas ust, przesłonięcie twarzy, skórka chleba pod nos. „Dobra... mocna...” – zakłęcie. I następna pieśń.

Rano zaczynało się: „A co będziesz jadł?”. I już sześć jajek kapie na słoninie, chleb z przedwczoraj i herbata, bardzo słodka. I opowieści, już nie cywilne, ale „pod

magnetofon”. O chórze w kościele i jak jej zabronili śpiewać, bo wszystkich zagłuszała, o prawosławnym krzyżu i pielgrzymce na Grabarkę, o cerkwi i domu, o rodzinie i świętych, i wojnie, i cierpieniu, i samotności. To już nie była tylko Olga, to było plemię, i pokolenia, tradycja, niszczone, i to niszczenie też było tradycją, to były ruiny chat nad Bugiem i zdziczałe, po przesiedleniach, sady owocowe, i odbudowywane kapliczki, i rzeka graniczna. I ja, który tego słuchałem.

W 1993 roku, przygotowując wyprawę „Gardzienic” na Ukrainę, odwiedziliśmy z Marianą Sadowską w Drohobyczu ucznia Brunona Schulza. Staruszek z żoną siedzieli na ganku, pokazywali nam fotografie. W sadzie spadały jabłka. Pac... „Główna rzecz, ażeby nie zapomnieć...” – pac... – „żaden Meksyk nie jest ostateczny” – pac... – „jest on punktem przejścia, który świat przekracza” – pac, pac. „Za każdym Meksykiem otwiera się nowy Meksyk, jeszcze jaskrawszy – nadkolory i nadaromaty...”

Pac. Pac. Pac, pac...

Wędrowałem na Wschód

To była podróż wymyślona dużo wcześniej, nigdy niegotowa, aż dziw, że się w nią udałem.

Babcia Julia kupiła mi w dzieciństwie lampę, we Wrocławiu, na Dąbrowskiego. Lampa miała abażur, na którym były wielbłądy i one się pod wpływem ciepła zarówno poruszały, kręciły, szły, wędrowały po piasku pustyni na Wschód.

A potem, w młodości, w pokoiku na Olimpijskiej zachłystywałem się mirażami Wschodu, młodzieńczym poszukiwaniem iluminacji, technikami przemienienia, bycia pełnym – całą tą obowiązkową literaturą połowy lat siedemdziesiątych, wypisz-wymaluj *Dharma bums* Kerouaca.

Wujek Janek był bratem rodzonym Babcji Juli, miał metr sześćdziesiąt wzrostu, był łysy i był kolejjarzem. Pojawiał się w moim dzieciństwie w mundurze, z pomarańczami w prezencie, zjadał obiad i mówił: – A teraz porozmawiajmy poważnie. I zasiadała rodzina, chcąc-nie chcąc, przy herbacie i słuchała wujka Janka. Wujek był członkiem Towarzystwa Teozoficznego, jeszcze przed wojną, znał, jak mówił, Dynowską i kontynuował swoje studia na Jesionce pod Warszawą, gdzie mieszkał w maleńkiej chałupce z kotem, psem i okazałą jak na warunki wiejskie biblioteką. Prowadził ożywioną korespondencję i był wiejskim dziwakiem. Opowiadał o Białej Hierarchii w górach Tybetu, o minerałach i zwierzętach, z których jesteśmy, o wędrowce ku Dobru, a ludzie go widywali, jak unosi się nocą nad borkiem. W 1981 roku wujek ogłosił nadchodzący koniec świata i wezwał rodzinę do siebie, aby tam, przy zakupionym zapasie ryżu, ma-

ki i soli, przetrwać. Odwiedziłem go potem, przywożąc *Króla Ducha*, jak karmił ryżem, w stanie wojennym, wróble. A potem w Domu Zasłużonego Kolejarza, gdy leczył się jeszcze kolorem oranżu. A potem w Pruszkowie, na cmentarzu.

Baul i profesor z Kalkuty wędrowali z „Gardzienicami” w roku 1979. Baul śpiewał na wiejskich zgromadzeniach, a chłopaki na motorach krzyтели: – „Te, upilim Indiana”. Cóż dziwnego, każdy chciał się napić z Hindusem-Profesorem. Będąc z „Gardzienicami” w Irlandii, w Derry, mieszkalem u Jima Hughesa. Jim miał dużo młodszą od siebie kobietę i psa, i doświadczenia ostrych represji za swoje sympatie polityczne. Świty, po pracy, spędzaliśmy przy szklance whisky. Któregoś wieczoru usłyszałem w TV Baula. Jim włożył kasetę i nagrał program. To był on, Baul z Gardzienic, był i profesor z Kalkuty; to był Baul, którego ciągle wspominają na Kendula Mela w Bengalach.

Do Indii, na Wschód, wyruszyłem, gdy rozstawałem się z żoną – to doniosły okres w moim życiu, zaiste. Po dziesięciu latach bycia razem pojawił się okres szczególnego opętania, na swój sposób – święty. Przed domem, po łące biegało dziecko, w teatrze odbywały się pierwsze pokazy *Carmina Burana*. Dużo czytałem o Merlinie.

W takich chwilach świat śpiewa pieśń, nie ma przypadków, jest się jak otwarta rana, wszystko cię czyni, i wiatr, i deszcz, i ludzie, i sen, i płacz, i śmiech. I to nie-dotkliwe.

Indie

Brzask i chłód budzącego się Varanasi. Ludzie potem spali na dworcu, kobiety budziły dzieci, by żebrać. Rikszki czekały szeregami.

Był świt 24 grudnia 1991 roku. Wigilia.

Zszedłem nad Ganges.

Wszedłem do wody, do pasa. Wokół ludzie inkantowali słowa modlitwy. Podnosili mokre dłonie do czoła, do piersi, na wschód. Było ich wielu, rzesze.

Odepchnąłem się od kamiennego schodka i zanurzyłem w Ganges. Płynąłem delfinem, na wschód, jeszcze dla rozgrzania, prędko. I nagle, przy wynurzeniu – słońce w oczy, przy zanurzeniu – toń; słońce, woda, słońce, woda, ciepło, zimno, ciepło, ciepło, wdech, wydech, jasno, ciemno, ptak, łódź, wdech, woda w ustach. Na krótko gorąco. Krótszy oddech – dym tytoniowy, skręty, papierosy, bidi. Woda, słońce, ciepło, jasno, szaro, niebiesko, zielono, indygo. Chusty, narzuty, przepaski, brokaty – wdech; suche nogi, kikuty – wydech. Broszki, naszyjniki, kolczyki, szafiry, rubiny maharadży – wdech; wydech – liszaje, parchy, garby, jątrzące rany, muchy, ciała, ciała. Trąd. Zwierzęta rzeki, zwierzęta pustyni,

zwierzęta powietrza. Malowane byki, słonie, małpy, parzywe psy, wielbłądy. Starzec w łódce łowi ryby, orzeł nad meczetem, sępy nad padliną.

Wdech, wydech, wdech, powietrze, woda, wydech, głębia, toń.

Błękitny świtu, błękitny toni, błękitny życia, błękitny śmierci.

Stałem na górze, robiłem niedozwolone fotografie. Krzyczą, biegną do brzegu, niosą na bambusowych maczach. Zanurzają w rzece, obmywają. Ciało. Mokre zawiąniętko – człowiek. Układają na stosie, 900 rupii za drzewo, pięćdziesiąt dolarów, dla nich majątek. Przechadza się boss, właściciel terenu, milioner, z siedmioma goryłami, w białym garniturze. Przynoszą wiecheć ognia, obchodzą stos, coś mówią, za daleko, z góry nie słyszę i dym innych stosów przesłania. Sypią proszek, drzewo sandałowe, pachnidło, dokładają trzcinę, materiał płonie, brokaty, te papierowe, tylko dla obrządku śmierci, tanie. Więcej drzewa, jak się dobrze rozpali, to bale, a potem już nie wiem, ze dwie godziny stygłem.

Widziałem inne stosy, niedopalone szczątki, dymilo; motyczką zgarniali popioły i wrzucali w Ganges. Niedopalone bale wykradali biedniejsi, by zaoszczędzić na drogim drzewie na stos. Kłócili się, gonili, przeklinali. Niżej czekały suche ciała, przykute, bo już bez siły, żeby wyjść i żebrać na swój stos. Umierały, przyszły, by umierać i trafić do rzeki. A jeszcze niżej interes, stragan, wielki interes na losie.

W świątyni konie i muzycanci w kamieniu, wszystkie te cuda opisywane w przewodnikach i albumach. A ludzie żują betel i uwijają się przy stosach, pluja, biegają z marami. Psy, dzieci, krowy, świątynie dokoła, basen, w którym kochanka Wisznu zgubiła kolczyk, kozy zjadające śmiecie – wszystko prócz plastiku. Opowiadają cy bramin – „King of brocate”, od czterech pokoleń.

Przyjął mnie w pustym pokoju na piętrze. Najpierw pytanie – czarna herbata czy czaj? Kawa, papieros, rozmowa, jakieś dziesięć minut. Chłopcy wnieśli nareczca jedwabiu na kłaśnięcie. Rozrzucił niedbale dziesiątki zwojów materii, czarował. Płynęły pawie ogony, abażury, witraże, kolory z dzieciństwa, Szeherazady, piramidy, wielbłądy wyruszające o świcie z oazy, kupcy, karawany, zaczarowane lampy – i ta, kupiona z Babcią Julą na Dąbrowskiego, we Wrocławiu, teraz leży na Grabiszynskiej, obok prochów jej syna, wuja Stacha, który mieszkał w Ameryce. Pamiętam, jak niosłem urnę przesłaną paczką – mała skrzyneczka zawinięta w fioletowy jedwab, na cmentarzu pijany grabarz, matka płakała.

A jedwabie Króla Brokatów płynęły, z jednego konu sześć gatunków, tylko te najlepsze. Potem pokazywał falsyfikaty, nie mogłem odróżnić. Chciał, żeby docenił – tygodnie pracy biednych kobiet przy krosnach, a on im daje żyć – te fiolety i zielenie, i wyrafinowane wzory, i zgrzebne supełki zachwycające szorst-

kością, i te, nie do zniesienia, bogate. Powiedziałem, że nie mam pieniędzy, chciałem uciec. W Indiach żaden biały nie jest biedny – jeśli nie ma pieniędzy, ma ambasadę i bilet powrotny, i kredytową kartę. A „King of brocate” niczego nie robi dla zysku, dla przyjaźni tylko. Mogę więc wybrać, co chcę, i zabrać, i przysłać pieniądze z domu. Bo on mi wierzy, chce tylko pokazać mnie, człowiekowi innej kultury, bogactwo rzemiosła jego kraju, podtrzymywane przez pokolenia, od 200 lat – pokazał certyfikat; więc niech wskażę sześć. Wskazałem. Zawisły natychmiast na ścianie, podświetlone. Opowiadał o każdej sztuce, pałac bidi. Jeszcze się bronilem i wtedy powiedział: – A który dałbyś matce? To był święty handel. Kupilem dwie sztuki.

Spałem na półce z bagażami. Obudził mnie śpiew.

Śpiewał nieustannie, z daleka, przechodząc przez wagony, wystukując rytm laską i miedziakami w dłoniach.

Czy to już był Baul?

Pociągi Indii – najpierw wejść, potem jeszcze wciągnąć plecak. To jest wojna, tu nawet kolor skóry nie pomaga.

Zakratowane okna wagonu, duszno. Tobały, ludzie, ich zapachy, lgną do ciebie, dotykają – wilgotne koszule, spocone karki, klejące ręce, bose stopy, zacieki pod pachami. Mówią do ciebie, uśmiechają się, krzyczą. W wagonach ścisk – na czteroosobowej ławce osób dziewięć, a nad nimi jeszcze cztery, na bagażowych półkach, i dziecko na kolanach, i toból między nogami, i worek, że stopy nie przesuniesz. I kołysze się toto tak godzinami, tak toto, coraz bliżej siebie, odtaje, rozluźnia, przysypia, tak toto, przykłada głowę, tak, na ramię, na kolano, tak, nieogolony policzek, tak toto tak, czyjaś warga na dłoni... Tak... Hamulec, wstrząs, paczka spadła, ludzie powpadali na siebie, ubiło się, powstała szparka i... weszli. Jeden za drugim – ten czaj, ten dal, ten czapati... i słodkości, i orzeszki, i wegetariańskie grochy, soczewice, trawy, wodorosty, rękami do ust, usta miela, odpadki na ziemię, skorupki, łupiny, tutki z gazet, niedopałki, paczki po bidi – pod nogi, na podłogę, w ziemię. I cieszą się, i jedzą... – „czaj pie!!! czaj pie... two rupies... czaj pie!!!” – gliniane, jednorazowe czarki wypalane na słońcu, kruche, pod nogi, sandałem, butem, bosą stopą i znowu, znowu stopy na ławkach, kolana pod brodą, bo im niewygodnie siedzieć ze spuszczonej nogami, a w pociągu ławki, a oni woła w kucki. Coraz więcej śmieci, każdy coś zjadł i wypluł, teraz betel, czerwone zęby, języki, czerwona ślina, cieknie, wszystko zalewa, rozumiem – na dworze, na powietrzu, tam więcej przestrzeni, tam są kozy, które wszystko zjedzą, wszystko oprócz plastiku... ale tu, w wagonie... w tym ścisku...? Weszła koza... przy ziemi, w kucki, z miotełką, wyciągnęła rękę, zebrała po rupii w garść i zaczęła czyścić – zamiatać, z podłogi, spod

nóg, wymiata miotełką, zaciekle, wszystkie brudy, do następnej stacji, do nowej karawany handlarzy i sprzedawców, wymiata do drzwi wagonu, otwiera, wionęło żarem i kurzem... Czysto.

I znowu tak toto, dym tytoniowy, upał, betel, ktoś zachrapał, przełknął ślinę, czyjeś zapatrzone oczy błyszczą, zakwiliło dziecko.

Na Kendula Mela w Bengalu tłok, jakżeby inaczej? Nie, to nie tłok, tłok był w pociągu, a tu – po trzykroć, po dziesięciokroć. I to wszystko płynie, jak rzeka, zabiera ze sobą, niesie, szumi, dźwięczy, gra. Gra w kolory, w dźwięki, w kształty, w obrazy, w epizody, w etiudy, w sceny, w całe spektakle, w misteria, w życie. To płynie i chce płynąć, płynąć się domaga, ciągle, ciągle, nawet jak śpi, to się domaga, wyciąga ręce, zebrze... Wszędzie wyciągnięte ręce, dziecięce rączki, miseczki, puszki, owinięte kikuty, otwarte rany, jęczące strupy człowieka, ludzkości. To nie człowiek, to obrąbany kadłubek z głową – wnieśli we dwóch, położyli w środku płynącego tłumu, w poprzek, pod prąd, ustawili miseczki na jałmużnę, a kadłubek domaga się, macha kikucikami obu rąk i nóg, krzywi się, patrzy, woła, woła, chce... chce ode mnie, parę rupii, daję, tłum mnie unosi, a on dalej chce, dalej woła, podnosi głos, głos moduluje, rzuca obelgi – ach, cóż za profesjonalizm!

Sztuka, muzyka, teatr – tego tam szukałem, turysta z Europy. I miałem za swoje. Setki ludzi pod drzewem, setki ludzi wokół obskurnej platformy, setki ludzi przy aszramie, setki ludzi przy wzgórzu, setki ludzi przy studni. Można wędrować przez noc – od setek do setek, od miejsca do miejsca, od sceny do sceny. Podwieszane żarówki, chrypiące głośniki, źle zestrojone mikrofony. Słyszę go... śpiewa. Dochodzę.

Na bosych stopach ghungur – bransolety z dzwonczkami, lewa ręka na dubku – bębenek, w prawej ek-tara – jednostrunowy instrument. I do tego śpiewa, i tańczy, i wiruje, i mówi – zgromadzieli, czarodziej.

Na platformę wchodzi drugi Baul, w kolorowym kaptanie, czysty, z włosami upiętymi w fałę. Ghungur, gabgubi – bębenek ze struną od membrany naciąganej dłońią, uderzaną kostką. Siada przed śpiewającym, mówi do ludzi, śmieje się, pokrzykuje, odwraca, skręca, komentuje, daje znak, że zacznie za chwilę, znowu gada do ludzi, próbuje różne rodzaje śmiechu, rozgrzewa rezonatory, ciągle do ludzi mówiąc, zajmuje ich, przyciąga, odciąga od tamtego, uderza w strunę gabgubi, stopą w podłogę, sprawdza rytmy, brzmienie ghungur. Wyciąga coś zza pazuchy, skręca, zapala, pyka, pyka, wdycha powietrze, wypuszcza, do końca; z bezdechu przyssał się. Wciąga w miechy, długo, ile może, przytrzymuje, przełyka ślinę – uderzenie, wieczność w oczach – wydychuje, łagodnieje. Aktor. Jeszcze raz, i jeszcze, zachłannie; oczy błyszczą, ciało napięte, skupione – wstaje, tyłem do tamtego, przodem do ludzi, teraz już on, tylko.

Pierwsze uderzenie, mistrzostwo początku, szkic możliwości na rozgrzewkę, parę słów do ludzi, śmiech, ktoś daje pierwsze dziesięć rupii, wpina w kaftan, jeszcze jedna kolorowa łata. A potem podróż, „dźwięk mnie uderzył”, jego podróż w siebie, w ja, jego podróż w większe Ja, w Ja co go przerasta i przerasta tych, co słuchają, przerasta mnie, z Polski, z Polski B, ze wsi, z Gardzienic, z teatru, z plemienia rozrzuconego po świecie, ale plemienia, a paru na skrawku ziemi pod stopami, w „republice marzeń”. Podróż w przeszłość i przyszłość, w wieczność. Jak wtedy, gdy szedłem do klasztoru Taschiding, w Sikkim, przez góry, w górę i w dół, w dół, do rzeki, do pomarańczowych gajów, w górę, w kamienie, w śnieg, w surowość. Zmieniały się klimaty, zmieniały góry, szedłem – ile gór można przejść w jeden dzień; i dojść, w jeden dzień – mur, modlitewne młynki, kamienne ściany, posągi, malowane drewno. Czyste powietrze, białe sztandary na wzgórzu, setki, wiatr unosi słowa modlitwy, w wieczność. Biała Hierarchia wujka Janka. Kres i Bezkrzes. I głuchy śmiech w górach.

Baul tam szedł, modlił się, śpiewał – na Kendula Mela, w Bengalu. Szedł i to była procesja. I ja tam byłem, chciałem się schronić nad rzeką, przybiegli z bębna mi, rzeszą, jak mówiła Babcia Julia – Kompanią. Zagarnęli mnie, zawiedli na drugi brzeg, mostem, ile nocy już nie spałem? Tam szła inna procesja – ludzie, krowy, zwierzęta. Muzyka, muzyka... Szpaler, szedł On, mały chłopiec z pomalowaną na niebiesko twarzą – Kriszna. Szedł, ludzie klękali, bili pokłony, dotykali stóp, nie jechał na osiołku, szedł z pomalowaną twarzą. Z oczu uderzyły łzy. Płakałem... Dlaczego...? Tyle ludzi wokoło, patrzą, a ja płaczę, zawodzę, biały turysta, przed chłopcem o niebieskiej twarzy, płacze, zawodzi, wstyd... To były wszystkie moje łzy, wszystkie łzy mojego życia, mojego świata... On nie mówi *Powrotu taty*, chociaż był w moim wieku, jak ja, wtedy, a teraz ja płaczę, nie ciotka Irka, nie rodzina, płaczę ja nad sobą, nad nimi, nad nim – ile nocy już nie spałem? – ze wstydu, ze szczęścia, z nieszczęścia wszystkich poranków i zmierzchów moich lat.

Baul się tam wspiął i wtedy zawirował. I zawirował świat.

Podróż – ciąg dalszy

Ważne mi się teraz jawi słuchanie siebie.

I siebie praktykowanie. Dieta i rytm dnia, starannie dobrane wyzwania. Stukot czcionek maszyny do pisa-

nia, własny trening-poruszanie, wypuszczanie strzał. Widok z okna mojej chaty przenoszony co wieczór do Domu-Teatru.

Pisze Zeami:

„We wszystkim, co dobre i złe, nie wolno zapominać stanu serca u początku drogi.

W każdym nowym okresie pracy nie wolno zapominać stanu serca u początku drogi.

W starości nie wolno zapominać stanu serca u początku drogi”.

Pamięć o dawnych błędach stanowi o przyszłych zaletach. Zapominanie o „byciu u początku” oznacza powrót do niewiedzy. Odpowiedni dla każdego okresu pracy styl gry – „kwiat”, utrzymanie w pamięci wyuczonych niegdyś technik, zachowanie ich, czyni aktora wszechstronnym i stwarza niewyczerpane możliwości. Życie ma swój koniec, sztuka nie zna kresu. Wielki trud grania w starości stanowi o kolejnym „początku” w rzemiośle aktorskim.

Mówi się w Kyudo – japońskiej sztuce strzelania z łuku, o tzw. *rifle shooting* – „strzelaniu strzelby”. Jest to najniższa forma wypuszczania strzał. Dotyczy tych, którzy raz nauczywszy się ułożenia ramion i ciała w pozycji pozwalającej na trafienie w cel, niczego już nie zmieniają. Są dokładni, ściśli, staranni, ale nie zmieniając siebie, trwonią życie na umieszczaniu strzał w tarczy, w kawałku drewna i papieru.

Mówi się w Kyudo – *Drodze łuku*: „czy tysiąc strzał, czy dziesięć tysięcy – każda ma być pierwsza”. Każda mówi prawdę o tobie, jaki w chwili strzału jesteś. Konfrontuje nie tylko skuteczność, ale i najwyższe wartości.

Teatr. Wypuszczanie strzał, każda pierwsza. Czterdziesta trzecia nie uda dwudziestej czwartej. Można więc już nie stawać na arenie, by tańczyć z bykami, wprowadzić na nią osła, z jego świętym „hii-haa”. Bocięć nie boli mnie już, jak za czasów, gdy miałem być Merlinem.

Bo czeka mnie jeszcze los wiewiórki Zeamięgo, o pięciu umiejętnościach. A umiejętności i nieumiejętności, których nie zaniedbuję, są tylko śladami, sztukami zwierzątka skaczącego z drzewa na drzewo, ale nigdy nie fruującego jak ptak, brodzącego w wodzie, ale nie pływającego jak ryba.

A prawdą wierzającą z aktorstwa niech zostanie, jak na starożytnych ikonach, wizerunek człowieka z głową skierowaną na Wschód, kroczącego na Zachód, z energią strzały w „drodze łuku”, porażająca tych, co są w tym teatrze obecni.